

SPRAWY KOBIECE

Redaktor odpowiedzialny: MARJA SZMAŃDZINA, GRUDZIĄDZ

Od Wydawnictwa.

Gość w dom, Bóg w dom — mówi stare przysłowie nasze.

Oto i my przychodzimy dziś do domów polskich jako goście, ale goście, którzy chcą zamieszkać na stałe w domach Waszych, a więc goście, którzy chcą stać się Waszemi domownikami i przyjaciółmi najżyczliwszymi.

Nie wątpimy, że przyjmiecie nas, Kobiety Polskie na Pomorzu, najżyczliwiej i najchętniej. Od dawna odczuwałyście brak nie tylko towarzysza, jakim chce być dodatek nasz, ale i spójnię jąną między Wami mają być „Sprawy kobiece“.

Mają w nich kobiety do kobiet przemawiać o sprawach, które kobiety jako obywatelki, jako matki, jako posłanniczki najszczytniejszych zasad miłości chrześcijańskiej i interesują i łączą.

Przyjmijcie tedy z życzliwością dodatek poniższy, wczytujcie się w treść jego, czyńcie i przesyłajcie uwagi nad charakterem i treścią pisma, które każdej i wszystkim kobietom pragnie dać coś ciekawego, coś pouczającego, coś, nad czym zastanowić się warto, a też i coś wesołego.

Każdy początek jest trudny. Nasze zadanie poczynamy atoli spełniać z wiarą, że Wy, kobiety i towarzyszkich nasze, pomożecie nam Swą współpracą i Swemi radami, które prosimy nadsyłać pod adresem Tej, której powierzyliśmy redakcję „Spraw Kobiecych“ a mianowicie p. Marii Szmańdziny.

O radość życia.

Jest źle i smutno.

Zniknęła radość życia, przygasły uśmiechy, a nawet trudno dostrzec dziś człowieka rzeczywiście zadowolonego ze siebie, z życia i z tych, którzy go otaczają.

Zewsząd słyszy się narzekania, padają słowa zniechęcenia, a nawet nienawiści do tego, co nas otacza.

Zubożeliśmy na wszystko co dobre, co piękne, nienawidzimy pracy naszej, widząc w niej tylko konieczność, idziemy przez życie w smutku bezmiernym, zapatrzeni w szarzyznę dnia codziennego. Cud radości życia wyczerpał się w nas i skamieniały serca.

Żyjemy w czasie, kiedy dusza ludzka zmacona przez doczesne pragnienia i potrzeby oddaliła się od najgłębszych swych prawd.

Twarda konieczność bytowania zinażała z twarzy naszych uśmiech, a trud pracy zawodowej, wrył głęboką zmarszczkę na czołach. I nie jesteśmy już tem, czem być powinniśmy w życiu i nie rozumiemy samostannego pierwiastka życia kobiecego.

Bez uśmiechu stoimy nad kołyską swego dziecka, bez radości potrzymy na rozwój jego i nie patrzymy w przyszłość z jasną nadzieją, ale z złowrogim przecuciem. Żyjemy tem tylko, co nas otacza, a nie tem, co winniśmy mieć w sobie. Walka o byt, mozoły i trudy pracy zagasiły radość życia i ufnosć zatarły. I to jest właśnie źle i tak być nie powinno i zmienić się musi. Nie wolno nam patrzeć w przyszłość naszego życia z lękiem i trwogą, nie wolno nam pracy uważać jako konieczność i zło, nie wolno nam w każdym niepowodzeniu chwilowem doszukiwać się jakiegoś przekleństwa, ale musimy wszystko znosić z łagodnością i bezwzględny spokojem. Nie wolno nam tracić pogody ducha i uśmiechu, zabijać radości życia i słonecznej nadziei

przyszłości. Jesteśmy przecież twórczyniami ogniska domowego i stoimy na straży jego i od nas kobiet w największej mierze zależy, czy ognisko domów naszych jasnym się będzie paliło płomieniem, czy powoli gasnąć zacznie.

Otrząsnijmy się tedy z martwoty ducha otwórzmy serca pełne miłości a niewątpliwie ustaną narzekania i nie usłyszemy więcej słów zniechęcenia i nienawiści, gdyż z życia każdy trud powstały przyjmiemy ze spokojem i pogodą.

Nie w życiu, ale w nas samych leży radość i wesele, więc starajmy się wydobyć je, a życie nie będzie dla nas wtedy trudne i mozolne, ale oświecone pogodą i słońcem.

Zofia Meissnerówna.

Jest moc

Jest moc, co duszę budzi
Z letargu, snu zwątpienia;

Jest moc co życie ludzi
Rozjaśnia i przemienia.

Tęsknoty koi męki
Łagodzi ból cierpienie
Dotknięcie drogiej ręki
I miłe nam spojrzenie.

Gdy człowiek jest w rozpacz
I blizki już zwątpienia
Zbudzi się gdy zobaczy
Siłę tego spojrzenia.

Stokroć godzielną litości,
Kto jeno ze wspomnienia
Widzi tę moc jasności
Kochającego spojrzenia.

O obowiązku pracy społecznej kobiety Polki.

Pragnę dziś wskazać Paniom zło, które tkwi wśród nas — a tem jest: ogólna obojętność wśród kobiet na pracę społeczną. Zdawałoby się, że z chwilą zupełnej wolności narodowej — praca społeczna rozwinię się potężnie i wspaniale — że niczem nie krępowane damy ze siebie wszystko na co tylko zdobyć się możemy, — że wszystkie stowarzyszenia i instytucje zbożne, mające na celu dobro bliźniego lub pożytek dla Ojczyzny zarażają się ilością członków czynnych, którzy skupiając się pod jakimś hasłem — wyteżają swoje siły, by dopiąć celu dla jakiego pracują.

Tymczasem każda z nas dobrze wie o tem, że tak nie jest.

Nie obce nam jest zjawisko na terenie Grudziądza, który liczy w ostatnich czasach dzięki gwałtownemu polszczeniu się liczne stowarzyszenia, — że we wszystkich tych stowarzyszeniach pracują zawsze jedne i te same Panie, a ilekroć zawiąże się jakiś komitet dorozny — w tym lub owym celu, znowu do tego komitetu należą te same Panie. — Zróbmy dziś na ten temat rachunek sumienia!

Przystępując do tego — obawiam się, że audytoryjum, które mam przed sobą składa się właśnie z tych Pań wszędzie pracujących, a głos mój nie dotrze do tych, którym by roztrząsał sumienie. Dlatego myślę, że dobrze byłoby dla sprawy, gdyby zebrane tu dziś Panie powzięły uchwałę poruszenia tego tematu publicznie w prasie — może przecież tysiące dusz i serc śpiących otrząśnie się z tej grzesznej obojętności.

Widzimy na ulicach naszego miasta całe roje kobiet strojnych — miłych i bardzo inteligentnych — kobiet polskich, które oko nasze daremnie szuka wtedy, gdy zbieramy się i skupiamy przy jakiejś akcji społecznej. Bywa też powszednią wymówką owych pań: „ja nie mogę społecznie pracować, bo nie mam na to czasu — mam dom, — męża i dzieci“.

Śmieszne zaiste wymówki! W odpowiedzi tym Paniom muszę powiedzieć, że najczęściej właśnie zrozumienie dla pracy społecznej spotyka się u tych osób, które są obciążone licznymi obowiązkami i które nie dysponują majątkiem, — które równocześnie jednak umieją doskonale pogodzić obowiązki gospodarcze domu, żony — matki z pracą społeczną w wolnej Polsce i pracę tę uważają za swój święty obowiązek. — Z pewnością że kobieta — zameżna która ma dom i dzieci i liczne z tem związane obowiązki i kłopoty — nie może w tym stopniu oddać się pracy społecznej jak ta, która jest wolną, ale nie wynika z tego, aby była zupełnie zwolniona od tego.

Można by w takim razie zastosować wszędzie tę wymówkę — a więc: ja nie mogę chodzić do teatru, ani na koncerty, ani spełniać obowiązków towarzyskich, bo mam dom i dzieci, nie mogę czytać, — dokształcać się, — bo mam dom i dzieci i tak dalej w nieskończoność. Przypnać muszę, że brak wykształconej i uczciwej służby domowej też przyczynia się do tego, że Panie ociągają się wychodzić z domu na parę nieraz godzin dziennie i zdawać gospodarstwo swoje na istoty nieumiejętne — nieuczciwe i niepewne. Najczęściej jednak przyczyna ogólnej obojętności kobiet dla pracy społecznej tkwi w tym, że nie zdajemy sobie dość sprawy z tego, że praca społeczna jest dla kobiety Polki tylko obowiązkiem równorzędnym z innymi najważniejszymi zadaniami jej życia i stąd powinna jako jeden obowiązek więcej stanowić treść jej życia.

Wszak nie doczekamy się w Polsce lepszej służby domowej, jeśli właśnie wśród tych sfer nie będziemy prowadziły dzieła uświadczenia i udoskonalenia, a na to trzeba się zdobyć. Zdarza się często, że nie tylko tam brakuje rąk do pracy, gdzie chodzi o jakąś akcję filantropijną ogólną — ale kobiety nie okazują zrozumienia nawet wtedy, gdy się je zaprasza do współpracy

w sprawach bezpośrednio dotyczących je same — ich bytu — lub ich dzieci. Wiadomo, że zebrania rodzicielskie świecą pustkami — na kilkaset dzieci uczęszczających do zakładu przyjdzie w najlepszym wypadku 15 — 20 matek. Wogóle kobiety dzielą się na dwa obozy — na jedne, które za siebie i za drugich pracują, a na drugie, które nic nie robią.

Ten drugi typ kobiet musi zniknąć w Polsce.

Wyteżmy wszystkie siły i sposoby w tym kierunku, aby wszystkie Polki stanęły solidarnie do pracy społecznej, każda przy tym ognisku pracy i w takim ze-spole, gdzie jej jest dobrze i sympatycznie, gdzie czuje, że sama korzysta i dużo ze siebie daje.

Ale takiej Polki, która do żadnego towarzystwa nie należy i która nic nie robi wogóle nie powinno być. — Weźmy sobie najbliższy przykład z Niemek, — każda z nich należy do jakiegoś „Vereinu“ lub „Bundu“ mimo że są wzorowe „Hausfrauen“. Ale Niemki rozumieją ważność i obowiązek tej wspólnej pracy, przez którą tejeje i wzmacnia się naród.

Jednostka nigdy działać nie może tego, co jakieś stowarzyszenie lub organizacja. A ileż do pracy leży odlegoem u nas w Polsce z powodu tej grzesznej apatii kobiet!

W iluż stowarzyszeniach praca szłaby raźniej i lepiej, gdyby się stawilo więcej osób. Patrzymy obojętnie na zdenerwowane — przeczuciem umysłowe i fizyczne jednostki, które nie chcą nad słys' bo sumienie nie pozwala im ustać w tej pracy, którą uważają za przykazanie wobec narodu swojego! I bywa, że jedna nie może sobie znaleźć godzinki czasu na to, by pracować w jakimś stowarzyszeniu, a inne muszą znaleźć nie jedną, ale wiele godzin za te wszystkie — naturalnie, że ze szkoda dla swojego zdrowia, dla swojego domu, — dla swoich najbliższych.

Rozpocznijmy więc pracę w tym kierunku od najbliższego otoczenia naszych znajomych i odważnie bez ceremonii mówmy: „Jako Pani jest żoną oficera polskiego a nie współpracuje Pani z Czerwonym Krzyżem?“ albo: „Pani ma syna harcerza, a nie należy Pani do Koła Przyjaciół Harcerzy?“ — albo: „Pani pracuje tak ciężko na życie jako sklepowa, jako krawczyni, a nie wie pani, że można w Czytelnii dla kobiet znaleźć pożyteczną i miłą rozrywkę“ — i tak dalej, i tak dalej — zachęcajmy te Panie, by każda z nich zapisywała się i należała tam, gdzie stanowiskiem swoim i poziomem umysłowym nadaje się do współpracy. Wszak tyle jest towarzystw i wybór wielki — chodzi tylko o to, by spełniły się życzenia poety Asnyka:

„Czyż każdy w swoim kółku — co każe duch Boży, a całość sama się złoży!“

PIOTR RICHY.

Namiętność.

(Groteska, napisana specjalnie dla „Życia Kobięcego“).

Profesor de Leville zdecydował się ostatecznie. Tak, koniecznie. Jest to jedyna droga do zdobycia tej efemerydy, boskiej, cudownej, najwspanialszej... Ta paradna, jedyna w swoim rodzaju książka z początku XVI wieku z elegjami tego tam Polaka, Kochanowskiego (prof. skrzywił się z pogardą) i wierszem tytułowym Ronsarda, ilustrowana wspaniałymi ręcznymi malowidłami jakiegoś bezimiennego Włocha.

Tak, książkę musi mieć koniecznie, choćby... Z pewnością należy ona do Muzeum Warszawskiego; bardzo nawet ładnie z ich strony, że pozwoli na wystawienie tego unikatku w Paryżu. Ale Polacy mają jeszcze przecież tyle książek, których nie przetrwali, niewiele więc straca.

Profesor archeologii w paryskiej Sorbonie de Leville usnięchnął się błogo. Cały dzień chodził jak bled-

ny i ciągle rozmyślał o tej jedynej książce, którą wygrzebał na bulwarach pomiędzy Pont de Saints Péres i Pont Neuf u jakiegoś starego „bukinisty“, którą przy licytacji podbił mu w bezszelny sposób jakiś polski arystokrata. Dziś książka ostatni dzień w Paryżu.

Okolo godziny 12 wieczorem profesor ubrał się i wyszedł. Cicho otworzył drugim kluczem boczne drzwi gmachu „Bibliothèque Nationale“. Przesuwał się bezszelnie po ogromnych korytarzach, aż wreszcie znalazł się w salach unikatów książkowych. Nie bacząc już na zachowanie środków ostrożności jak szalony rzucił się w stronę, gdzie leżała upragniona książka. Drżącymi rękoma namacał guzik elektryczny lampy. Rozbłysło światło pod zielonym kloszem.

Nie długo danem było cieszyć mu się bliskością rzeczy upragnionej. W chwili, gdy skrywał gruby tom pod łokciami obszernego płaszcza, posłyszał szmer za sobą — głuchy śmiech, podobny do brzęczenia starego żelazka. Po tym śmiechu poznał Bacarta człowieka, który mu na każdym kroku brózdził swą wątpliwą wiedzą.

Z niechęcią położył książkę na dawnym miejscu.

— Kochany profesor, chluba Francji — przyszedł uzupełniać swe zbiory kosztem barbarzyńców. Słusznie, nie w innym celu i ja przyszedłem.

Profesor de Leville wydał dolną wargę i uporczywie patrzył w sufit. Bacart zbliżył się zwolna do stołu, zaczął głaskać grzbiet książki zdobny srebrnymi wieniecami. Tego de Leville znieść nie mógł. Podbiegł do stołu, chwycił książkę i zaczął z nią uciekać.

— Cha! cha! Profesorze nie przyciskajcie tak silnie, połamiecie norymberskie okucia.

De Levillem wstrząsnął dreszcz; z miejsca zawrócił i pobiegł do Bacarta, rzucając książkę na stół.

— Co, co okucia norymberskie — krzyczał wściekle — tak może powiedzieć tylko skończony nieuk. W słynnych pracowniach lyońskich zostały one wykonane! Czy rozumiał stary bibliofil Bacart, gwiazda zautków wiedzy?

I pomiędzy temi dwoma ludźmi opętanemi jedyną namiętnością, wywiązał się naukowy spór. Przeszła dla nich istnieć czas, nieistniała książka, obydwu chodziło o wykazanie racji swej hipotezy. Tymczasem noc dochodziła kresu. Za oknami powoli rozrastał się dzień. Uczeń nie zauważył tego. Nie zauważył i tego, że wszedł do sali zastępca kustosa, że się im skłonił, i że ukrywszy na stole leżącą książkę w specjalną skrzynkę wyszedł.

Spostrzegli się dopiero, kiedy książki na stole już nie było. Przez chwilę stali osłupieli i wściekli. Wreszcie de Leville uśmiechającemu się już złościwie Bacartowi pokazał całą długość języka obrucił się i wyszedł.

— Głupiec!

— Złodziej!

Wyszedszy na ulicę Bacart obejrzał się podejrzliwie na idącego za nim de Leville'a, ale zobaczywszy błędną i zamyśloną minę profesora uspokoił się i uśmiechnął złośliwie. A jednak on, Bacart będzie posiadał książkę. Rozpromieniony wpadł do domu.

W godzinę później jechał już na dworzec południowy. Rozsiadł się wygodnie na poduszkach wagonu pierwszej klasy pociągu, idącego w kierunku Warszawy. Pomimo całego swego humoru czuł jakiś niepokój. Z peronu doleciał pierwszy sygnał. Bacart odetchnął z ulgą.

Drugi... Wtem najniespodziewaniej wyrosła w drzwiach mała figurka de Leville'a.

Niepomierne zdziwienie ogarnęło obydwóch. Bacart zaklął zicha, de Leville nie był zdolny do wymówienia czegokolwiek.

W tej chwili pociąg ruszył. De Leville stracił równowagę, zachwiał się, zatoczył i padł w ramię swego najbardziej znenawidzonego współzawodnika.

(Spolszczył J. K.)

Przypomnienie.

Niema chyba w żadnym narodzie przywiązania do tradycji tak głębokiego jak u nas w Polsce. Są u nas zwyczaje tak silnie zakorzenione, tradycje przechowywane przez setki lat z prawdziwym petyzmem, że im głębiej u nas przechowywanego, z zwyczaju i rzucić na pastwę zapomnienia. Przeżywaaliśmy nędze i tragedje życiowe, żyliśmy w goryczy i zapomnieniu, przechodziły nad narodem naszym zawieruchy, a przecież umiłowanie tradycji zostało jak najcenniejsza relikwia. Najsilniejszą przecież z tradycji i zwyczaju najgłębiej u nas przechowywanego, z zwyczaju, który czerpie swą trwałość z uroku przedziwnego i pogody radosnej jest niewątpliwie Wigilja Bożego Narodzenia, i zwyczaj strojenia drzewka oraz obdarowywanie się wzajemnie podarkami.

Nie wiem, czy jest wspomnienie życia tak biedne, które nie miałyby uśmiechu przeżyć tego jednego wieczoru niema chyba oczu, któreby nie mogły przywołać obrazu opromienionego światłem drzewka wigilijnego, oraz duszy, któraby nie przeżyła beztruskiej chwili zapomnienia w wieczór radosny Bożego Narodzenia.

I oto zbliża się ów wieczór oczekiwany przez cały naród, wieczór, w którym ucieleśniają się marzenia wszystkich dzieci naszych, którego z niecierpliwością oczekują nawet dorośli, by chwila jedną tego wieczoru rozpromienić serca widokiem radości twarzątek dziecięcych.

Jakżesz miłe są dla nas kobiet dni przygotowania przedświątecznego, ileż matek obchodził wystawy gwiazdkowe, by dopatrzeć się w nich tego, co wysnuwała nimi wyobraźnia dziecka, by dobrać drobiazgi najładniejsze i najstosowniejsze rzucić pod drobne stopki dziecięcy.

I oto zająśniało już drzewko w aureoli tysiąca błyskotek i srebrzy się jasnością barw. Tysiączne śmiechy rozbrzmiewają w naszych domach i radosne uniesienie rozpięta piersi dziecięce z otrzymanych podarków.

Nie wszyscy jednak radość naszych dzieci znają, i nie wszystkie serduszka dziecięce radują się w tym dniu uroczystym. Są setki, tysiące prawie dusz dziecięcych, którym radość dnia tego jest obca, albo została jak mgliste wspomnienia jednego tylko przeżycia. I o tych właśnie dzieciach nędzy i niedoli nie wolno nam zapomnieć w dniach przedświątecznych, kiedy czynimy przygotowania dla radości nas samych.

Niechże każda z nas, każda matka Polka przygotowując dla swej córki lub syna niespodziankę radosną nie zapomni o tych synach i córkach, których biedni rodzice nie mają czem obdarować. Ileż biednych matek stoi wobec problemu nie do rozwiązania, wobec chęci sprawienia choćby najdrobniejszej tylko niespodzianki swemu maleństwu, a przecież tej drobnej nawet niespodzianki sprawić nie może, gdyż niema pieniędzy.

Wiem o tem, że nie potrzeba już więcej wam mówić, wiem że rozumiałyście mnie i nie zapomnicie o tych małych duszach dziecięcych oczekujących ze słabą nadzieją wieczoru cudu. Od nas zależy, aby ów wieczór stał się dla dziecka biednego rzeczywistym cudem i radością.

Do naszych czytelniczek.

O tem, co mówi Balzac o ubiorze kobiety.

Powieściopisarz francuzki Balzac w jednej ze swych powieści napisał — ubiór kobiety jest najpierwszą ze sztuk pięknych. — Naturalnie poeta francuzki nie miał na myśli bezmyślnego strojenia się w pstre galanki, które z kobiety często robia karykaturę. Balzac pisze „ubiór“ (Toilette) i dodaje, że powinien ten ubiór stać się dziełem sztuki. Kobieta, która na swój ubiór będzie w ten sposób się zapatrywać, nie będzie szukała ozdób i samej odzieży w drobiazgowej świetności często zu-

pełnie nie nadającej się do rodzaju jej urody. Nie bowiem niema bardziej śmiesznej, jak kobieta niezręcznie, nienarmonicznie i przesadnie ubrana. Kokieterja kobieca w ubraniu w miarę zastosowana i jednakowo użyta w domu i poza domem, polegająca na wykwinnej i czystej bieleźnie, harmonijnych linjach sukni domowej czy kostjumu, na wytwornych bucikach i dobrze zastosowanym do całości nakryciu głowy, jest zawsze mile widziana i stanowi tajemnicę uroku kobiet, które są najbardziej kochane i pożądane. O takich kobietach mówi się zawsze z pewnym miłym uśmiechem i myśl nasza dąży do nich jak do świeżej ślicznie rozkwitłej rośliny.

Starajmy się przeto dbać o swój wygląd zewnętrzny, abyśmy były zawsze wszędzie witane z miłym uśmiechem, który nie jest nigdy nam obojętny. Przypatrzmy się modze obecnej, abyśmy linję naszej sukni czy kostjumu, czy wreszcie format bucika i kształt kapelusza zastosować mogły do wymagań ogółu.

Co pewien czas przy zmianach mody podawać będziemy opisy najnowszych modeli francuskich, aby nasza Czytelniczki mogły z nich korzystać.

Wiadomości z daleka.

Ukazało się niedawno dzieło uczonego angielskiego Sir Flynnders, a traktujące o położeniu kobiety w starożytnem państwie asyryjsko-babilońskim w r. 2100 przed naszą erą, a więc przeszło cztery tysiące lat temu. Uczony angielski rozpatruje przedewszystkiem prawo małżeńskie u starożytnych babilończyków i asyryjczyków. Prawo to było niesłychanie surowe dla kobiet, zwłaszcza dla niewiernych żon. Kobieta, która męża swego zdradziła, karana była bardzo surowo. Mąż był wówczas odpowiedzialny za wszystkie przewinienia żony i sam był obowiązany wymierzać za przekroczenia owe właścicielką karę. Zdarzył się np. wypadek, że pewna kobieta ukradła komuś rzecz jakąś, służącą do domowego użytku, której wartość wynosiła 5 funtów ołowiu. Mąż, rzecz naturalna, musiał poszkodowanemu wypłacić odszkodowanie. Ponadto jednak był zobowiązany wymierzyć swej żonie karę, taką prawo żądało za podobne przestępstwa, a mianowicie obciąć jej nosy. Ponieważ małżonek wzdrażał się to uczynić, operacji dokonał sam poszkodowany. W wypadkach cięższego przewinienia winna, ponosiła karę obcięcia nie tylko uszu, lecz często i nosa.

Mąż, który zastał swą żonę w towarzystwie innego mężczyzny, miał prawo ją zabić. Klótniwa i zbyt wymowna żona, można było oddać, dzieci zatrzymując sobie. Po śmierci żony mąż mógł niezwłocznie pojąć w małżeństwo jej siostrę. Prawa asyryjskie przewidywały i uznawały ogromnie wielką liczbę powodów do rozwodu. Były to przecież zawsze powody na korzyść męża nigdy zaś żony. Mąż, któremu żona zbrzydła z tych czy innych powodów, był tylko obowiązany przyprowadzić ją przed sędziego, a ten mu zawsze udzielał rozwodu. Natomiast żona nie miała nigdy prawa opuścić męża bez jego zgody. Bardzo surowymi były również przepisy dotyczące ubiorów kobiecych, zwłaszcza pewnego rodzaju ubrania na głowę i zasłony na twarz. Bez tej zasłony, kobiecie zameżnej nie wolno było pokazywać się publicznie. Nie wolno im caś i kobietom złego prowadzenia się było wzbrowione noszenie owej zasłony. Przekroczenie zaś tego prawa, karano 50-ma uderzeniami kija.

Wskazówki praktyczne

WYWABIANIE PŁAM.

Plamy powstające tak często wskutek nieuwagi lub w przypadkach roztargnienia niszczą nieraz bardzo poważnie najkosztowniejsze tkaniny i powinny być dlatego, aby uniknąć zniszczenia materiałów jak najszybciej usunięte, i to w taki sposób, aby barwa materji i materiał sam nie uległy zniszczeniu.

Co się zaś tyczy środków używanych do zniszczenia plam, to one powinny być takiego rodzaju, aby tworząc pewien chemiczny związek z materją plamiącą, nie naruszały przy tem całości tkaniny albo sprzętu, z

czego wynika, że każdy rodzaj plamy wymaga oddzielnego środka czyszczenia. Trzeba jeszcze mieć na uwadze, że inaczej trzeba się obchodzić z tkaninami i przedmiotami kolorowymi, a inaczej z takimi, które posiadają naturalny swój kolor.

W pierwszym rzędzie zobaczymy jak czyścić plamy, wywołane przez tłuszcz, gdyż najczęściej ubrania i materje podlegają właśnie przez naszą nieostrożność tym plamom.

Wywabianie plam spowodowanych przez tłuszcz.

1) żółtko z jaja rozciera się z równą ilością wody i tą masą napawa się miejsce splamione, pociera się delikatnie rękami i zmywa następnie wodą;

2) świeża żółć wołowa, użyta w tenże sam sposób;

3) delikatne olejki lotne, albo oczyszczony olejek terpentynowy bierze się i naciera nim z lekka plamy, następnie przez bibułkę lub cienką flanelkę pociera się delikatnie tak długo póki plamy nie znikną. Olejki wyżej podane rozpuszczają tłuszcz, a te razem z olejkiem wsiąkają we flanelę lub bibułę, pozostawiając tkaninę z całą pewnością zupełnie czystą.

Z teki pesymisty.

Nowoczesne bajki.

Minał już dawno czas legend, bajek, kominków i niań pocziwych, legendarnych królewiczów, czterdziestu rozbójników, szamów, latających koblerców, czapek niewidek, czarowanych księżniczek, kur niosących złote jaja, rycerzy smoków.

Zamiast bajek mamy prasę, zamiast kominków — kaloryfery; zamiast królewiczów — footballistów; zamiast szamów — safesy; zamiast koblerców latających — aerokluby; zamiast czapek niewidek — radio; zamiast czarowanych księżniczek — chórzystkę w operze, zamiast czterdziestu rozbójników — znacznie więcej rozbójników.

Minał czas bajek... Być może, niesłusznie, bo chociaż wielu uskarża się na brak nastrojów bajkowych, przecież i z najskromniejszych, najblachszych wydarzeń można wysnuć bajkę.

Tylko naturalnie do tego trzeba się urodzić marzycielem.

Zamiast tedy snuć długie baśnie, opowiem wam tylko kilkanaście fragmentów bajek nowoczesnych:

Była kiedyś kobieta, która spletała swoje własne długie włosy.

Był profesor uniwersytetu, który jechał własnym automobilem.

Była anegdotka nie o żydzie.

Chętnie placono podatki.

Nie narzekano nigdzie na drożyznę i brak pieniędzy.

Był literat bez apetytu

Kobieta nie używająca pudru.

Był teatr, który miał powodzenie.

Istnieli ludzie, którzy o wszystkich dobrze się wyrażali.

Było mieszkanie do wynajęcia.

Humor.

— Pan myśli, że to zabawne! Mój mąż mówi ciągle o swej pierwszej żonie.

— To jeszcze dobrze. Moja żona ciągle mi mówi o swoim przyszłym mężu.

*

— Dlaczego mamusia daje mi tak mało?

— To nie dla ciebie, to dla Zosi.

— Dla niej tak dużo?

*

— Co ci ciocia dała gdy jej składałeś powinszowania z okazji imienin?

— Co mi dała? Rękę do pocałowania...

*

DRÓBNE OGŁOSZENIE.

Literat szuka mieszkania z widokiem na lepsze czasy.